

skazanym na bluesa



fot. Maciej Kuszela (1990)

SEBASTIAN RIEDEL

słowo wstępne

9

Życie biegnie tak szybko. Każdy nowy dzień wiele od nas wymaga. Trudno jest tak po prostu przysiąść i zanurzyć się w przeszłość. Ale czasem warto to zrobić. Warto zatrzymać się gdzieś na uboczu i choć na krótko wrócić do wspomnień, tych dobrych i cennych. Miałem szesnaście lat, kiedy Ojciec od nas odszedł. Towarzyszyliśmy więc sobie niezbyt długo. Ale ten fragment jego życia, który wspólnie przeszliśmy, zarówno jako rodzina, jak i duet Ojciec – syn, to przede wszystkim niezliczona ilość cudownych chwil, które spędziliśmy ze sobą. Wiele z nich, to dla mnie bardzo intymne i osobiste przeżycia. Każdy z tych wspólnych momentów na zawsze pozostanie dla mnie wyjątkowo cenny i wiem, że dla niego były one równie ważne. Nie zważał na mój młody wiek, zabierając mnie w fantastyczne miejsca, pokazywał mi świat, ten najbliższy, przy domu i ten dalszy, poza Tychami, gdzieś w Polsce. Bardzo dużo ze sobą rozmawialiśmy i nigdy nie zostawiał moich pytań bez odpowiedzi. Był cierpliwy. Nauczył mnie wielu rzeczy. Przekazał mi też najważniejsze dla niego wartości,

jakimi się w życiu kierował. Zawsze mogłem do niego przyjść. Był moim przyjacielem.

Bez przerwy jestem o niego wypytywany. Nie przeszkadza mi to, choć oczywiście spowszedniało mi już odpowiadanie na te same pytania. To, że ludzie wciąż się nim interesują oznacza, że nadal o nim pamiętają, a to mnie bardzo cieszy. Dwadzieścia pięć lat po tym, jak odszedł, mogłoby się wydawać już nie takie oczywiste, że ludzie wciąż są jego ciekawi, a jednak... Czasami myślę, że może byłoby dla niego lepiej, gdyby urodził się w innym miejscu, gdzie otaczający go świat byłby z nim bardziej spójny. Jeśli jego kariera potoczyłaby się tam choćby tak, jak w Polsce, byłby – w tym innym, lepszym świecie – spełniony pod wieloma względami i życie ułożyłoby mu się z pewnością inaczej. Jednocześnie cieszę się, że osiągnął tak wiele właśnie tutaj, że był z nami i że nigdy się nie zmienił. Sporo jego cech widzę u siebie. Był spokojnym, szczerym człowiekiem i ja też taki chyba jestem. Na pewno się staram.

Często o nim myślę. Najczęściej w momentach, kiedy jako ojciec i głowa własnej rodziny, muszę podjąć jakąś decyzję czy rozstrzygnąć problem. Myślę o nim, kiedy rozmawiam z dziećmi, kiedy organizuję czas tak, by być z nimi każdego dnia – chcę być obok nich, jak Ojciec był obok mnie. Dzień jego urodzin, Święto Zmarłych czy Boże Narodzenie, to dla mnie szczególne daty w kalendarzu. Wtedy wspominam go mimowolnie, moje myśli intensywnie biegną w jego stronę. Nigdy nie postrzegałem go osobno jako Ojca – przyjaciela i Ojca – artystę. Nie patrzyłem na niego jak na dwie różne osoby, zwłaszcza, że takiego podziału w nim samym nie było. Zawsze był po prostu moim Ojcem, kolorowym i niezwykłym człowiekiem, który – wydaje się – zwyczajnie nie mógł wykonywać innego fachu... Czy moje dzieci są ciekawe swojego dziadka? Nie dopytują się o niego dość często, ale wiedzą kim

był. Znają też jego piosenki. Mój syn Rysiek, rozumie, po kim nosi imię, Rysiek senior wciąż jest przecież w naszym domu obecny. Dostałem kiedyś w prezencie jego portret, olejny obraz, który na początku był zawieszony w salonie. Teraz, po przeprowadzce, jest w przedpokoju. Zdarza mi się, przechodząc obok, uśmiechnąć do niego zniecka. Stale czuję obecność Ojca. Wiem, że jest blisko mnie.

Mam kilka pamiątek z nim związanych. To zwykle rzeczy, ale bardzo dla mnie cenne. Na przykład plakat Dżemu z autografami całej grupy. Kiedyś po koncercie obserwowałem fanów podchodzących do zespołu po podpisy. W końcu sam też podszedłem. Każdy z muzyków podpisał mi się na plakacie. Poza Ojcem, bo nawet nie pomyślałem o tym, by i jego o to poprosić – miałem go przecież na co dzień. Później, kiedy zobaczył ten plakat w domu, sam się dopisał: „senior Riedel”... Jako chłopca ciekawiło mnie, jak składał ten podpis, zapytałem go więc kiedyś: „Tato, a jak ty to robisz?”. Pokazał mi wtedy, jak łączył ze sobą litery, wykonując to charakterystyczne podkreślenie. To była taka oryginalna sygnatura! Chciałem podpisywać się podobnie. Powiedział mi: „Dobra, Bastek, możesz go używać, ale musisz dodawać: junior”. Czasami pozwalał mi podpisywać się na płytach Dżemu. Robiłem to chętnie i zawsze tak, jak kazał: „junior Riedel”. Odkąd zacząłem podpisywać własne płyty czy plakaty, niektórzy pewnie zauważyli, że mój autograf jest wierną kopią podpisu Ojca. To dla mnie ważny symbol. Mój podpis jest, jak pieczęć: „Riedel”.

Muzyka jest ponadczasowa. Wierzę w nią. Ojciec wciąż żyje w jego nieśmiertelnych kompozycjach, a ja tworzę swoje. Zastanawiam się czasem, czy – gdyby żył – poszedłbym w tym samym muzycznym kierunku, jaki kiedyś obrałem? Czy byłbym tym, kim jestem teraz? Nie chodzi o to, czy bałbym się, że nie zdołam wyjść z jego cienia. Zastanawiam się nad tym dlatego, że wszystko, co zrobiłem na początku

i robię teraz, jest tak naprawdę dla niego i dla pamięci o nim. O tym, że będę muzykiem, postanowiłem krótko po jego śmierci. Ta decyzja była zadedykowana jemu. Każde moje nagranie czy wyjście na scenę jest pewnego rodzaju holdem dla Ojca. Ojca, którego bardzo mi brakuje. Muzyka zawsze nas do siebie zbliżała i tak jest też teraz. Oczywiście, że była ona całym jego życiem. Kiedy wracał z długiej trasy koncertowej, ledwie wszedł do domu, już nastawiał płytę. Fani znają go ze sceny i z jego piosenek. A ja pamiętam go jako człowieka, który miał zwykle, przyziemne pragnienia. Mało kto wie, że zawsze chciał mieć dobry sprzęt grający (bo niestety długo takiego nie miał). Oczywiście na początku chciał jakikolwiek, ale z czasem jego oczekiwania były coraz większe. Pisał w tej sprawie listy do swojej mamy (mojej Babci), która mieszkała w Niemczech i miała tam możliwość zakupu dobrego sprzętu. Często dostawaliśmy paczki z Niemiec. To były radosne momenty dla mnie i Karoliny. W jednej z paczek był magnetofon dla Ojca. Cekał na tę przesyłkę niecierpliwie, tak jak my na słodycze. Niestety, magnetofon okazał się nie taki, o jaki prosił. Zawiedziony, dał go nam do zabawy. Babcia po prostu nie знаła się na magnetofonach.

Pamiętam, jak jakimś cudem zdobył kartki i udało mu się kupić upragniony sprzęt w sklepie górniczym. Co prawda te lepsze modele zostały wykupione i długo przez to miał niedosyt, ale cieszył się już swoją własną fonicą czy unitrą, wzmacniaczem i dwiema kolumnami. Mógł już słuchać muzyki tak, jak lubił – głośno – na co szybko zaczęli się uskarżać sąsiedzi z bloku (mieszkaliśmy w otoczeniu zwykłych ludzi, którzy chodzili do pracy, a po niej chcieli spokojnego odpoczynku). Kiedy tylko wychodziliśmy do szkoły, a Mama do pracy, galka jednak szła maksymalnie w prawo. Po lekcjach, by dostać się do domu, musiałem czekać pod drzwiami, aż utwór się skończy i dopiero wtedy mocno w nie waliłem (miałem tylko kilka sekund pomiędzy utworami, żeby mnie usłyszał, więc musiałem je wykorzystać). Moje usilne próby